

# *Miron Białoszewski*

---

Małe  
i większe prozy

*Utwory zebrane*



9

Dorzutki

---

## Baśka

Cieplawo. Deszcz. Ludzie z wysokiego okna. Wyglądam ich, oglądam dla potrzeby przeżyciowo-opisowej. Dla rozkoszy, jak w miłości. A ludzie idą, mokną, myślą i chcą sobie coś tam, męczą się.

Ja się też nieraz męczę w sztuce. Ale to moje męczenie jest wstydlive przy tym z życia. A inaczej się nie da, jeśli sztuka ma mieć wagę. Musi się złapać za najgorsze. Z tym dreszczem rozkoszy. Jest okrutna, bezwstydna. Rodzaj bóstwa, które ma szansę na dłuższe trwanie kosztem każdym, co podleci. Wszystkożerne.

Baśkę ...ową przeraziło raz załatwienie kogoś po nagłej śmierci kilkoma poezjami.

Kiedy Baśka ...owa leżała na ostatku w szpitalu w Pionkach w maju 1962, nocowałem w jej rodzinnym domu pod Pionkami. W dzień dochodziłem do szpitala. Matki Baśka nie chciała za bardzo dopuszczać. Chciała jej oszczędzić. Matka dawała mi Baśce do szpitala różne delikatności do jedzenia, żeby zjadła cokolwiek. Nie przypuszczała, że koniec aż taki bliski, chociaż przywitali mnie na przyjeźdny, z ojcem Baśki, słowami

— O, z Basią źle, jak przeżyje maj, to będzie dobrze.

Ostatniego dnia wszedłem po cichu, Baśka w separacie leżała nieruchomo.

Bardzo źle wyglądała, jakby umierająca.

Otworzyła oczy.

Spojrzałem na krzesło. Leżały napisane dwie zwrotki mojego z Olgierdem przekładu z *Rozstawania* Cwietajewej.

— Nie miałam siły więcej przepisać. Adam miał rację, że ja będę umierała i jeszcze będę mówiła o Sandauerze.

Ożywiła się tak, że jej powiedziałem

— Kiedy wszedłem, leżałaś trochę jak martwa, ale teraz zupełnie jesteś inna.

— Ja tak na zmianę odpoczywam i przyglądam się sobie, bo mi się w niej odbija widok spod szpitala, kawałek lasu...

Przyszedeł szwagier Baški. Zajechała siostra, Lusia.

Kiedy wychodzili, umawiając się na jutrzejsze wizyty niedzielne, Basia zawołała

— Tylko błagam, nie wszyscy naraz!

Powiedziała mi w pewnej chwili

— Jeżeli godzę się na pogrzeb tradycyjny, to żeby nie robić zamieszania ani nikomu przykrości.

O rok wcześniej zawiozła mnie taksówką do kościoła i na cmentarz wiejski, żeby mi pokazać, gdzie będzie pochowana. Na jesieni dała mi jakieś swoje czy dodatkowe dowody, żeby dowiedzieć się, czy mogłaby być pochowana w Warszawie w grobie swojej babki na cmentarzu ewangelickim. Okazało się, że trzeba by strasznie dużo trudu, papierków.

— No trudno — Baška na to — niech będzie wieś.

I to jej zdanie przypomniałem w czasie narad, gdzie ją pochować, czy nie w Pionkach. Oczywiście leży na wsi.

Długi dzień szarzał. Basia chciała coś zjeść.

— Może niech ona mi ugotuje jajko?

Zaniosłem pielęgniarce jajko. Bo chyba salowej nie było. Ugotowała, przyniosła. Baška spróbowała.

— Jak ona mi ugotowała to jajko? Idź, odnieś jej.

Odniosłem. Dyżurna bez skrzywienia przyjęła uwagę

— Ugotuję drugie.

Baška powiedziała

— Zmęczyłam się. Zrobię sobie eukodal.

— A to dobrze?

— Muszę.

Zrobiła sobie zastrzyk. Prawie po ciemku. Coś przy tym mówiła. Że może się część rozlała. Po chwili ożywienia

— Wiesz, źle się poczułam, słabo...

— Pójdę po pielęgniarkę.

— Nie, nie, czekaj... Serce mi strasznie bije.

— Zadzwoń po Lusię.

— Nie, nie.

Lusia, siostra Basi, jest lekarką płucną.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Baśka powiedziała

— Pokaż rękę, zobacz — przytknęła moją rękę do swojego serca.

Strasznie łomotało.

Coś mówiła szeptem.

— Co? — schyliłem się.

— Strasznie się... — i nie dosłyszałem dalej.

— Zawiadomię Lusię — i wyleciałem do dyżurki.

Lusia i jej mąż, główny lekarz, byli za parę minut. Samochodem. Zrobili zastrzyki. Trochę pomogło.

— To do jutra.

— Pa...

Lusia podwiozła mnie do domu rodziców na wieś samochodem. Palila papierosa za papierosem. Nic nie mówiąc. Na końcu coś bąknąłem. A Lusia

— Człowieku, ona umiera.

Nie chciała się widzieć z rodzicami.

— Tylko mamie nic nie mów.

— Nie.

Mama potem miała trochę żal do mnie o to.

— Mój Boże, przecież bym poszła jeszcze ją zobaczyć, porozmawiać.

Ja sam słowa Lusi o umieraniu zrozumiałem nie tak dosłownie.

Po niewesołej rozmowie wszyscy się położyliśmy do łóżek. Ja nocowałem w pokoiku przejściowym między pokojem głównym a wyjściem na ganek. Z jednej strony był pusty pokój, gdzie Baśka przebywała zawsze do tej pory. Z drugiej strony pusty pokój, w którym leżała ostatnio, przed wyniesieniem jej na noszach do karetki szpitalnej.

Na chwilę zjrzałem do tego pokoju po ostatniej Baśce. Zamajaczyła mi w kołdrze martwa postać. Szybko odrzucona. Zerwał się wiatr. Bardzo silny i ciepły. Drzwi od pokoju z tapczanem ciągle otwierały się same. Aż przyparłem do nich krzesło. Leżałem na posłaniu na podłodze i spisywałem to, co się dzieje, w liście do Adama. Drzwi łomotały i łomotały.

O jakiejś porze wstałem do łazienki. Zaglądał już dzień. Cisza. Kapała woda z kranu. Zatrzymałem się nieruchomo naprzeciw wanny i okienka. Przypomniało mi się, jak raz wróciłem z łazienki i mówię do Baśki

— Woda z kranu kapie, napisz taki wiersz.

Napisała o kąpieniu i o sobie.

W tej chwili kąpienie to narastało niedobrze. W zupełnej ciszy. Usłyszałem samochód. Coraz bliżej. Zatrzymał się. Luscia zajęchała, to źle — pomyślałem.

Usłyszałem trzask drzwiczek.

Stałem w okienku. Czekałem, aż Luscia wejdzie w furtkę. Nie słychać było kroków. Co tak długo? Nikt nie wchodził. Cisza. Żadnego odgłosu motoru. Nic.

Czekałem dalej w okienku łazienki, zdumiony.

Złudzenie?

Wróciłem na posłanie. Leżałem. Pisałem. Przysnąłem po wierzchu. Nagle budzą mnie szybkie uderzenia w drzwi, lantanina, płacz.

— Cicho! — krzyk ojca Baśki.

Mama Baśki, płacząc i wołając głośno

— Mój Boże, Basia — otwierała drzwi Lusi.

Luscia wpadła, stanęła w moich drzwiach.

— To już, Miron.

Zajechała samochodem dopiero teraz. Basia umarła o czwartej, po czwartej. Obie z Mirą, drugą siostrą, przyleciały do szpitala natychmiast, bo spały przy telefonie w paltach. Baśka siadała, chwiała jej się głowa. Lusia zaczęła płakać. Baśka do niej

— Głuptas.

Pokazała na radyjko, pożyczone od małej sąsiadki

— Pamiętajcie, radio...

Potem straciła przytomność. Lusia poleciała po księdza.

— Mamie nie mówcie, że nie zdążył.

Mira trzymała Baśkę za rękę.

— W pewnej chwili nie wiedziałam, czy to jej tętno jeszcze, czy tylko moje. Pomyśl, i to ja, co się boję umarłych.

## Topololudy

Agnieszka i Malina przyniosły mi brązową piżamę. Wisi teraz w nocy na wieszaku. Poszedłem do łazienki po iluś niespaniach, spojrziałem w lustro. Zobaczyłem coś, co przypominało mi wiszące na drzewie w ekstazie świętego Franciszka.

A to ta piżama, która się odbijała w lustrze, od lustra w szybie biblioteczki Le. w przedpokoju. Z tej szyby do lustra w łazience.

Balkon rozwalony w plac. W ciepło, w ciemno, mokro i nawet nie pusto.

Nie wiem, skąd ci ludzie o wpół do drugiej w nocy. Po trzy, po sześć osób. Wychodzą z jakiejś bramy. Idą pod mój balkon i znikają. Pod spodem. I znów nowi. Wychodzą skądś, idą pod mój balkon i znikają pod spodem.

Teraz już jest pusto. Trochę mglisto i wciąż ciepło. W wielkiej topoli naprzeciwko balkonu widać coś troszkę rozjarzonego i ruszającego się. W tej topoli jest dziura, która ukazuje



kawałeczek skweru z drugiej strony. Teraz pewnie tam siedzi ktoś na ławce, a może na trawie. Pali papierosa. Jeden ktoś. Czy wiele?

Na samym skwerze ciemno. Milicjant pilnujący ambasady włoskiej chodzi w lewo i w prawo. Z drugiej strony skweru pani z dużym psem. Chodzą sylwetowo. Chodzę po mieszkaniu ja. Potem patrzę na plac. Milicjant stoi sylwetowo nieruchomy. Naprzeciw pani z psem. Trwa to długo.

Robi się dzień. Coraz widniej. Ale mglistawo. Gałęzie topoli się kiwają. Powiew odwraca im liście na drugą stronę. Raz liście błyszczące, raz matowe podszewki. Bujanie. Wpatruję się i widzę, że sylwetki gałęzi zaczynają nabierać plazmowatych przezroczystych obwódek. Coraz grubszych. W tych obwódkach ukazują się postacie. Rozkiwane. Machają do siebie, czekają na siebie. Ukłony. Markizowie. Damy. Bal. Zaproszenie do tańca. A potem pożegnanie. Siadanie na okręt. Odjazd, machanie rękami, machanie, odjazdy.

Dalszy dzień. Rozpogodziło się. Spoglądam przez dziurę topoli na jej drugą stronę. Coś połyskuje. Ktoś się schyla. Metal i książka. Dwie głowy. Dwie matki z dzieckiem? Na ławce?

Patrzę na topolę. Znow się trochę zamgliło. Tak jakby po deszczu, ale deszczu nie było. Teraz bujają się gałęzie jak małpy. Tak, to są małpy. Na jednej gałęzi małpa i na drugiej gałęzi małpa, to znaczy tymi gałęziami są małpy. Dwie czy trzy małpy. Jedna z nich najwyżej, największa. To król małp. Inne go słuchają. Kłaniają mu się. A on buja się i buja wielki nad nimi, buja się.

Wieczór szybko ciemny. Bo to już wrzesień. Wyszedłem na chwilę na Marszałkowską. Tramwaje jak werandy. Czekają na siebie. Ludzie oblepili wysepkę. Mgła. Ciepła, egzotyczna mgła. Wszystko mi się tłumaczy na małpio. Na małpie lato. Wracam do domu. Kładę się. Ale nie śpię. Wciąż

jestem rozmajaczony. Patrę z łóżka w balkon, a tam na placu topole bujają się, kołyszają. Tak jak przedtem. Tylko w połyskach elektrycznych reklam. Teraz tu są dwa czy trzy giganty. Które bujają się w jedną stronę. Na końcu wszystko ucicha. Wiatr nie wieje. Pusto, ciemno. Tylko nagle słychać dwoje nadchodzących. Czy chodzących po placu. Ich głosy objają się w kwadrat. Długo to trwa. Tak jakby czekali na przyjazd tych z innych planet. Właśnie tak zwyczajnie i trochę po pijanemu.

## Sylwester w lustrze

Rok 1973 dolatuje do końca. Do Le. przyjechał Misio Holender. Śpią. W pokoju Le. cisza. Misio Holender chciałby obchodzić sylwestra, ale Le. nie daje. Ja też sylwestra poważnie przesypiałem.

Cisza. Z placu pohukiwania podpitych. Kręcę się po mieszkaniu. Trochę zmęczony, trochę rozbawiony. Ileś czasu nie spałem, ileś czasu pisałem, ale nie chce mi się nic nie robić. Jest pewnie dwunasta. Idę do łazienki. Dym od papierosów. Rozpływa się obłokami, warstwami. W łazience wisi bielizna Le. z rękami do dołu. Odbija się w lustrze. W tym lustrze odbija się to, co widać w szklanej szafie z przedpokoju. A tam odbija się to, co widać w lustrze w moim pokoju. I tak nakładają się jedne na drugie wiszące rękawy, palta, stojące rzeźby, postacie z obrazów. Wszystko w obłokach dymu papierosowego. Przy zmęczeniu to wszystko nieruchomieje w zastanawiający sposób. Nie wiadomo, co jest odbite, co ze szkła, co z dymu, a co prawdziwą rzeźbą czy koszulą.

Na ulicy wiwaty. Ja krążę po pokoju, znów wracam do łazienki, teraz patrę w lustro. Wydaje mi się, że widzę odbite gabinet dziwnych manicurzystek. Czekają na kanapkach. Klientki. Niektórzy stoją. Panowie w paradnych nakryciach